ŻYCIE

ROCZNIK II. ZESZYT II.

DNIA 7. STYCZNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA". :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

GUSTAW DANIŁOWSKI.

Z POWODU ODEZWY RODICZEWA DO POLAKÓW.

W sprawie toczącej się w prasie warszawskiej dyskusyi na temat stosunków Rosyi do Polski wybitny poseł ze stronnictwa kadetów p. Teodor Rodiczew zamieścił w „Kuryerze Porannym“ artykuł p. t. „O sceptycyzmie opinii polskiej“, w którym usiłuje wykazać bezpodstawność szerzącego się pesymizmu.

Pan Rodiczew nie dziwi się, że z pośród społeczeństwa polskiego rozlegają się pod adresem Rosyi głosy pełne nieufności i smutku.

„Gdzież bo są oznaki, że narodowość polska otrzyma w Rosyi możność swobodnego rozwoju kulturalnego? Tych oznak niema.

Gdzież są w Rosyi owe moce, które mogłyby ustalić panowanie prawa? Mocy tych nie widzimy.

W opinii publicznej, w prasie, we władnych sferach biurokratycznych panuje nacyonalizm wojujący.

I nie widzimy końca jego dominowania.“

Tak oto kształtuje się pogląd sceptycyzmu polskiego....

Do tego niekiedy dodają, że obrońcy prawa w Rosyi stanowią mniejszość znikomą, nie posiadającą gruntu w narodzie, są doktrynerami i marzycielami. Przypuszczają, iż konstytucyonalizm rosyjski, kiedy wzmoże się i rozwinie pójdzie starą drogą centralizmu i rusyfikowania, oczywiście nie w ordynarnej formie, budzącego wstręt gwałtu, lecz w formie zewnętrznie poprawnej, spokojnie z systematycznie bezwzględną obojętnością wierzącego w siebie prawodawcy? Są to uprzedzenia, zdaniem p. Rodiczewa, który pyta:

„Gdzież tryumfuje nacyonalizm w Rosyi?

Oczywiście wytkną nam większość dumską, losy Finlandyi, mowy ministra sprawiedliwości, politykę gabinetu...

Cóż z tego?“

I tu p. Rodiczew przez porównanie tego wszystkiego, co się dzieje z szyldem w rosyjskim języku, który bynajmniej nie świadczy o zrusyfikowaniu Polski, oświadcza:

— Zjawisko, które wytykają sceptycy, jest to tylko szyld.

Bieg myśli p. Rodziczewa w tem miejscu jest wysoce oryginalny, ale niestety, zupełnie sprzeczny z rzeczywistością.

Na murach Cytadeli niema napisu:

— Tu wieszają ludzi.

Na szkołach nie widnieje:

— Tu rusyfikują.

Na domach Warszawy nic nie głosi:

Tu wpadają po nocach i porywają mieszkańców do przeludnionych więzień. Nigdzie tablice nie zawiadamiają przechodnia, że tu szpiclują, zamykają najniewinniejsze instytucye, zmuszają do bezczynnej wegetacyi jeszcze istniejące, nakładają w ciągu paru dni kilkotysięczne kontrybucye na pisma — wszystko to się odbywa bez szyldu.

Za to konstytucya i Duma — parlament jest to tylko szyld dla oka Europy i łudzenia optymistów.

Pod tym szyldem sroży się niesłychany ucisk, krzewi skrajny nacyonalizm, rozzuchwala się samowola biurokracyi, odbywa się niszczenie kultury wszystkich „inorodców“, zamkniętych więzieniem państwowości rosyjskiej — i to jest istotna rzeczywistość, bijąca nas nie napisami, lecz faktami wszędzie i na każdym kroku.

— Kraj trzyma z opozycyą — woła p. Rodiczew.

A tymczasem Stołypin i „czarna sotnia“ trzyma mocno i pewnie za łeb i opozycyę i kraj cały, bo wie, że ten kraj trzymający z opozycyą absolutnie nie reagował na manifest z Wyborga, ani drgnął, gdy rozpędzono drugą Dumę i uwięziono kilkudziesięciu opozycyjnych posłów, nie był w stanie przeszkodzić w wydarciu nam z ciała Chełmszczyzny, rujnowaniu konstytucyi wiernej lojalnej, nie porywającej się do powstań Finlandyi.

Rząd lekceważy sobie ową opozycyę, z którą w tak platoniczny sposób „trzyma kraj cały“ i w oparciu o „czarną sotnię“ znajduje odwagę i czelność z bezwzględną otwartością dopuszczania się w dzień biały zbrodni, z któremi się niegdyś krył po nocach.

Cóż p. Rodiczew przeciwstawia owym wytykanym przez sceptyków zjawiskom?

„Ogólne usposobienie“ i jeden jedyny fakt — wspaniały pogrzeb Muromcewa. Ale ta wspaniałość nie jest w stanie zatuszować okrucieństwa cichych pogrzebów zamordowanych za wałami Cytadeli, za murami więzień, w pustkowiu tundr i tajg, męczeńskiej śmierci Sazonowa, najlepszych synów naszej i rosyjskiej ojczyzny, zabójstwa najpożyteczniejszych naszych instytucyi, skon najskromniejszych nadziei.

Że to co się dzieje, nie jest rozumem politycznym, na to zgoda, że Rosya ocali się od korupcyi i zguby, tego Rosyi, jako narodowi lecz nie państwu, życzymy szczerze, ale, że konstytucyjny nacyonalizm jest może gorszy niż despotyzm, to pewnik, który stwierdza już obecna parodya konstytucyi i to niepokoi najsilniej zarówno patrzących dalej ludzi, jak i p. Rodiczewa, który wraca do tego punktu kilkakrotnie i zapewnia:

„że konstytucyonalizm rosyjski jest demokratyczny i pozostanie i nie może takim nie pozostać. W tem właśnie leży jego n a r o d o w a osobliwość.“

To podkreślone w tekscie słowo nie uspokaja, a przeciwnie trwoży.

Owa bowiem n a r o d o w a o s o b l i w o ś ć przeciwstawiającego się wiecznie rzekomego demokratyzmu Rosyi naszemu arystokratyzmowi, jego stała interwencya, biorąca w opiekę nasz lud przed uciskiem „księdzow i panow“, dała się nam dobrze we znaki.

Dla nas najpewniejszą gwarancyą rozwoju byłoby powierzenie spraw naszych własnym n a r o d o w y m o s o b l i w o ś c i o m, ale tego lieder stronnictwa kadetów p. Milukow w postaci autonomii osobiście dać nie chciał, a w postaci niepodległości podczas obchodu grunwaldzkiego p. Rodiczew kategorycznie odmówił.

Okazuje się więc, że i najdalej idący w uznaniu naszych praw stawia im jednak kres i czyni to w epoce walki, kiedy z natury rzeczy bywa się programowo znacznie wspaniałomyślniejszym, niż po zwycięstwie.

Za to p. Rodiczew zalecał w Krakowie wspania omyślność w stosunku do „galicyjskich Rosyan", twierdząc, że ucisk tych „Ruskich" dostarcza nacyonalistom „moralnego" argumentu do zaprzeczania praw rozwoju Polakom w Królestwie.

Panu Rodiczewowi wówczas wyjaśniono dobitnie różnicę sytuacyi owych „Ruskich" w Galicyi z sytuacyą Rusinów i Polaków w Rosyi i istotną wagę owych „moralnych" dla pana Rodiczewa argumentów.

P. Rodiczew często spisywał się w Dumie dzielnie, to też ów występ krakowski sprawił przykre wrażenie i złożono go na karb nieświadomego odruchu tej narodowej osobliwości rosyjskiego demokratyzmu, który dostrzega źdźbło w oku bliźniego swego, nie widząc belek we własnem.

Pomimo wszystko nie mamy prawa kwestyonować szczerości kadetów w sprawie autonomii, skoro przy niej dotychczas stoją.

Jesteśmy z całą sympatyą dla wysiłków Młodej Rosyi i mężnej wiary p. Rodiczewa, która daje moc wytrwania i podnieca energię walczących; chcielibyśmy tylko wykazać, że sceptycyzm tych, co oczekiwali zawsze zbawienia od obcych i zawodzili się tak fatalnie, jak się w ostatnich czasach na ruchu rosyjskim zawiedli, jest zjawiskiem zupełnie naturalnem.

W Rosyi jest mniej sił zdolnych do radykalnego przewrotu niż w Królestwie; co u nas już rośnie, tam kiełkuje dopiero.

Przy tem idea jednolitości państwowej jest poczuciem bardzo silnie zakorzenionem w społeczeństwie rosyjskiem.

W całej historyi Rosyi dostrzegamy zasadniczy rys centralistycznych tendencyi, którego skrajnym wyrazem stało się obóstwianie samowładnego cara.

Rozpęd w tym kierunku, wzięty w ciągu wieków, nie zmienia się tak łatwo.

Utrwalone w psychice rysy stwarzają nastroje, nałogi, instynkty, na których rząd silniej i dłużej, niż p. Rod. przypuszcza, grać może.

Niedawno temu jeden z nacyonalistów rzucił pytanie, czy wogóle obecność Polaków w Dumie ma racyę bytu?

Nietylko Polaków dodałbym, ale całej wogóle opozycyi do kadetów włącznie.

Był czas, że można się było łudzić, że konstytucya nie jest tylko szyldem.

I kadeci łudzili się nietylko sami, ale chcieli to złudzenie szerzyć, składali koleżeńskie wizyty konstytucyonalistom europejskim, zapewniali ustami Milukowa w Anglii, że są opozycyą, nie przeciw, ale jego cesarskiej mości, wogóle starali się niejako wmówić w Rosyę konstytucyę, jak w Niemca chorobę.

Ale Niemiec się nie dał. I oto istnieje jedyna chyba w obecnej dobie: Duma-parlament, gdzie większość stanowią zacięci przeciwnicy parlamentaryzmu, stwierdzając przy każdej sposobności i słusznie, że konstytucyi, chwała Bogu, w Rosyi niema, a carat panuje jak dawniej.

Opozycya miała nadzieję zmienić Dumę w narzędzie rewolucyjnej agitacyi, ale i to zawiodło. Głos jej zagłuszyły wrzaski Puryszkiewiczów, stała się nie trybuną wolności, ale areną cynicznych wyznań, krwawem igrzyskiem, domem wyuzdanej bezczelności, gdzie interpelacyę o liczbie zamordowanych grzebie się wśród okrzyków: — za mało! — gdzie sankcyonuje się bez żadnej żenady wszelkie bezprawie, gdzie rząd już niczego nie potrzebuje się wstydzić, a nieszczęsna opozycya wychodzi zawsze pobita, wydrwiona, oplwana. Cóż więc robi w tej sali rozpusty opozycya?

Podpiera swą obecnością szyld, współdziała ułudzie, fikcyi, staje się współuczestnikiem oszustwa, że konstytucya bądź co bądź egzystuje.

Opozycya powinna gremialnie opuścić ten haniebny gmach i oświadczyć przed światem i narodem, że nie chce dalej brać udziału we wstrętnej komedyi i choćby reszta trupy pozostała, Puryszkiewicz z braku przeciwników na śmierć się zanudzi i okaże się, że pałac Taurydzki jest tylko jednym więcej podejrzanej konduity zakładem z szeregu petersburskich klubów z bufetem.

Dla prawdziwej opozycyi niema miejsca w Dumie, ale w szeregach rewolucyi; by wywalczyć konstytucyę, trzeba przypuścić nowy szturm do twierdzy caratu, atak gwałtowny i ostateczny.

W tem wstrząśnięciu prawdopodobnie rozpęknie się państwo, imperyum wyjdzie prawdopodobnie uszczuplone, okrojone na kresach, ale wyjdzie z matni Rosya jako naród.

Niestety tej perspektywy poczucie państwowości rosyjskiej znieść nie może, a słowa Hercena, że „ci z pomiędzy Rosyan, którzy nie pojmują, że niepodległość Polski jest wyzwoleniem Rosyi, nie są rewolucyonistami, nie są wolnomyślnymi, że w tym dniu, w którym w Warszawie będzie ogłoszona Rzeczpospolita, petersburski orzeł powiesi się za jedną ze swych głów“ — nie zyskują w najbardziej postępowych sferach opinii rosyjskiej uznania.

Gdy myśl tę wyraził na obchodzie grunwaldzkim Sieroszewski, p. Rodiczew uznał za konieczne uroczyście protestować.

Pan Rodiczew jest niewątpliwie najżyczliwiej z Rosyan usposobionym przyjacielem Polaków, ale tylko do pewnych granic, po za któremi przedzierżga się we wroga i my musimy o tem stale pamiętać.

BRUNON KOSTECKI.

UGODA czy WALKA.

Najogólniejszą cechą duchowego życia niewolników jest marzycielstwo. Ujarzmiony i cierpiący naród lub klasa społeczna na tle swych ofiarnych walk oraz gorących pożądań wolności i dobrobytu wytwarza specyalną, martyrologiczną lub bohaterską poezyę, literaturę i sztukę. Są to objawy zbyt znane, aby dowodzić ich istnienia. Nie ulega wątpliwości, że stanowią one niesłychanie ważny czynnik uświadomienia mas, a przynajmniej — wpływając na uczucie — zniewalają myśl do pracy nad uświadomieniem sobie tradycyi, teraźniejszości i przyszłości.

Marzycielstwo jednak, mimo swej niezaprzeczonej wagi, posiada swoje złe strony w konsekwencyi. Nie dając nic konkretnego, jakichbądź wyraźnych wskazówek na przyszłość, prócz ogólnych wezwań do walki, prędko traci swój czar u ludzi myślących trzeźwo, nie poetów. Prócz tego, ogólnikowe te „teorye“ — jeśli można się tak wyrazić — dają doskonałą broń do ręki rozmaitym wyrafinowanym oszustom politycznym, tworzącym sobie osobistą karyerę na uczuciach grup społecznych i mas. Konieczna niejasność marzeń sprzyja bardzo ich wyzyskiwaniu. U ludzi, nieznających wroga dokładnie i skłonnych do poetycznego zapamiętania się — a takich jest wielu w Polsce — marzycielstwo zdolne jest wytworzyć tylko słomiany zapał chwilowy, a jednocześnie, wystarczając im na cały program walki, pogrąża w złudnych, śmiesznych często nadziejach, i tym sposobem odrywa od realnej pracy przyszłościowej.

Z drugiej znów strony błoga kontemplacya nad mniej lub więcej świetną przeszłością jest już tylko szkodliwym narkotykiem dla nas, Polaków. Jedyną korzyścią, jaką możemy wyciągnąć z najważniejszych momentów naszej historyi porozbiorowej, jest doświadczenie bojowe. Inne znaczenie pedagoczne tej „magistrae vitae“, choćby ujętej w formę pięknych bajeczek, pozostawiam do oceny fachowcom, mnie ono interesuje o tyle, o ile zdolne jest wytworzyć przyszłych żołnierzy rewolucyi. Do tej pory jednak — od 63 r. — mistrzyni ta, przynajmniej pod wpływem klerykalnych magów i karyerowiczów rządowych oraz godnych historyków pisarzy, wychowywała przeważnie tchórzy i głupców. Ta część społeczeństwa, która najmniej lub wcale nie znała historyi polskiej, wydała z pośród siebie najwięcej żołnierzy w ostatnim ruchu zbrojnym.

Pomijam względy ekonomiczne i klasowe, które popchnęły masy robotnicze i chłopskie do rewolucyi. Przecież obalenie rządu leżało w interesie wszystkich bez wyjątku, nie tylko proletaryuszów.

Jako kwintesencya nieszczerych lub naiwnie marzycielskich czynów pojawiły się w listopadzie 1905 roku masowe demonstracye ze sztandarami, na których były napisy „za ojczyznę i wolność“ obok bojowych emblematów — kos, lub hasła Socyaldemokracyi „precz z caratem“. Za temi hasłami „patryotów“ i niepatryotów nie stała żadna siła, ani nawet usiłowanie do jej stworzenia. Sokoli ani „bojowcy“ esdeccy nie byli bynajmniej zaczątkiem nowej taktyki, nawet teoretycznie. Tą czczą atmosferę bezmyślności i braku wszelkiej siły faktycznej ożywiały wojskowo-bojowe, regularne organizacye PPS, następnie usilne starania tych organizacyi do wytworzenia stałych ośrodków rewolucyjnych, zaopatrzonych w odpowiedni materyał ludzki i bojowy.

Krytyka działalności organizacyjnej Org. Boj. PPS z punktu widzenia wojskowego i konspiratora nie wchodzi w zakres niniejszego szkicu. Niepodobieństwem jest zrozumieć dokładnie znaczenia i przyczyny błędów, jak również i rezultatów osiągniętych przez Organizacyę Bojową bez wczucia się w odpowiedni okres wydarzeń politycznych. Dlatego ocena moja, unikająca wedle możności zagłębiania się w zawiłe problematy polityki, może niejednemu wydałaby się płytką. Tak nie jest. Unikam roztrząsania politycznych kwestyi rozmyślnie, zbyt wielu ludzi pisało już i pisze o polityce. Nie znaczy to jednak, że uni-

kam jej wogóle. Przekleństwem dla sprawy wolności podbitego narodu jest ta smutna konieczność, iż każdy żołnierz ma prawo i musi politykować. Prawa tego nikt nie ma mocy nikomu odebrać, zresztą na jego tle powstają wszelkie aspiracye wolnościowe. Mus politykowania wypływa z braku oparcia się na wewnętrznem i zewnętrznem życiu armii wolnościowej, — gdyż armii takiej niema. Zupełny podział pracy jeszcze nie nastąpił.

Zdawało by się, że w dzisiejszej epoce bynajmniej nieukrywanego prawa siły brutalnej, nie powinno być już ludzi, którzyby mając wolność na ustach i w programach, łudzili się co do sposobu jej zdobycia. Zdawałoby się, że wszelkie marzycielstwo pozostawi się dzieciom i poetom, a cały naród, bez względu na różnice społeczne weźmie się do przygotowań zbrojnych, choćby podzielonych między grupy i partye. Kto patrzy jasno i szczerze, chce wolności — powinien stać się żołnierzem. Historyczne polskie „pieczone gołąbki" dały się chyba dobrze we znaki. Każdy wie, że współczucie i pomoc ze strony świadków walki w jakiej kolwiek formie może się opierać tylko na własnych interesach tych ostatnich. A korzyść z dania materyalnej pomocy wyciągnąć można tylko wtedy, jeśli daje się pomoc silnemu.

Nie pokora chrześcijańska zapanowała nad światem, lecz pięść jej krzewicieli. Słaby i bezradny zasługuje tylko na litość lub pogardę. Taką jest religia walki o byt między ludźmi i narodami.

Zdawało by się, że to wszystko zostało zrozumiane, po tylu bolesnych doświadczeniach na własnej skórze... Za doświadczeniem powinien iść czyn rozumny, męski.

Nie dziwi mnie bierność mas, steroryzowanych bezwzględną reakcyą rządu rosyjskiego. Jest to rzecz zwykła i przejściowa. Trudno zrozumieć tylko u czynnych dziś politycznie grup społecznych brak wszelkich wytycznych dla konsekwentnej walki. Bo przecież sama oświata ludu nie może być uważaną za ostateczny środek do zdobycia wolności. I w dodatku oświata owa w Królestwie nigdy nie ogarnie mas w pożądanym stopniu wskutek zwalczania jej przez rząd. W Rosyi zaś nie zabraknie żołnierzy, którzy zdławią każdy ruch naszych chłopów i robotników, jeśli za całą broń służyć im będzie... zrozumienie swoich praw i obowiązków, nawet obowiązku „pro patria mori". Z opowiastek o niezwykłej mocy oświaty i tylko oświaty, śmieje się bezlitosna rzeczywistość.

Dziś i już na zawsze lud polski jest na tyle uświadomiony, że jest wrogiem rządu rosyjskiego. Podtrzymywać i pogłębiać to uświadomienie trzeba. Lecz przewodnia myśl tej pracy, jej cel, zupełnie konkretny, nie osłonięty mglistą nadzieją przypadkowości lub mistycyzmem, — powinien wyraźnie rysować się przed pracownikami· I oni sami przedewszystkiem powinni stać się w pierwszym rzędzie przyszłymi fachowcami, kierownikami ruchu zbrojnego. Inaczej praca ich będzie rzeczywiście syzyfową.

W krajach, gdzie siła liczebna ludu może stopniowo zwyciężać swych wrogów przez parlamenty, sejmy, legalne manifestacye i t. p., gdzie szerzenie oświaty nie ma innych przeszkód, jak tylko ciemnotę mas, — nieunikniony konflikt zbrojny między rządem a ludem może i nie wymaga odpowiednich przygotowań. System powszechnej służby wojskowej jest obosieczną bronią. Wyższy intelektualny poziom oficerów wychodzących z pośród różnych sfer narodu, nie daje gwarancyi bezmyślnego posłuszeństwa w każdym wypadku, a przynajmniej nie na zawsze. Zresztą w każdem mniej lub więcej konstytucyjnem państwie są warunki, z którymi liczyć się trzeba i czasem ustąpić przed jednym, aby tem skuteczniej wyzyskać drugi.

U nas, w Królestwie Polskiem i na Litwie, żadnych warunków dla pracy normalnej nie ma. Jesteśmy w ogromnej mniejszości wobec narodu rosyjskiego, najmniejszej więc nadziei być nie może na zrewoltowanie wojska rządowego na naszą korzyść. Pomijam tu niepodobieństwo rewolucyi wojskowej w Rosyi wogóle, zajmę się tem na innem miejscu. Zarówno usiłowanie zdobycia demokratycznej rzeczypospolitej jak i najmarniejszej autonomii spotka się z nastawionym bagnetem żołnierza. Wolność Polski jest dla rządu stratą materyalną, stratą tysięcy dochodowych posad, milionów rubli podatków i całego prestige'u wobec całego narodu i Europy — jest to jednem słowem kapitulacya. Możemy być pewni, że kazuistyka polskich „dyplomatów" ani uczucie serdeczności nie zmusi rządu do kapitulacyi przed nami.

Pozostaje jednak tylko — walka zbrojna, powstanie całego narodu.

Czy powstanie jest dziś możliwem?

Jako „niezbity" przykład braku wielkich szans na powodzenie powstania, podają insurekcyę kościuszkowską, dalej 30—31 rok, wreszcie ruch zbrojny 63 roku. Mówi się przytem: patrzcie, oni mieli to i tamto, broń palna była gorsza, co mogło dawać przewagę liczby i t. d., a jednak ich pobito.

Te argumenty już nie mówią, ale wprost krzyczą w niebogłosy na korzyść przyszłego powstania, jeśli się je dokładnie rozpatrzy.

Przedewszystkiem, ani jedno z byłych powstań nie miało za sobą ludu, gdyż był ciemny i z trudnością rozróżniał władzę panów swoich od władzy moskiewskiej, jeśli ostatnia nie odbierała mu jednej rzeczy, do której był przywiązany— kościoła. Dalej, nawet te tłumy chłopów, które walczyły, przedstawiały słabo lub wcale niezorganizowane bandy, w skład których niezwykle rzadko wchodzili ludzie obeznani z wojną. Dziś prawie każdy chłop służył w wojsku armii zaborczych, jest więc żołnierzem fachowym. Nawet zdobywcy armat pod Racławicami obdzierali po śmierci trupy i rozłazili się do domów; dziś chłop czy robotnik najmniej uświadomiony, wie co to jest dyscyplina i jakie ma znaczenie.

Nigdy też nie było licznej i z natury rzeczy rewolucyjnie usposobionej klasy robotniczej, która obecnie przoduje całemu społeczeństwu.

Gdyby krytycy myśli powstańczej w swoich „historycznych" wywodach nie opierali się na momentach bezpłodnego bohaterstwa powstańców, lecz ocenili fachowo wojskowe plany i prowadzenie polskich rewolucyi — wówczas cała sprawa inaczej by się im przedstawiła. Trzeba mieć odwagę nazwać Chłopickiego i Skrzyneckiego większymi zbrodniarzami wobec Polski, niż był Paszkiewicz.

Pierwszy plan Chrzanowskiego był łatwo wykonalny — i dawał Polsce Litwę, zwycięstwo powstania i niepodległość, a w najgorszym razie protektorat lub stan dawniejszy z rozszerzonemi granicami Kongresówki na część Litwy. Beatus qui tenet! Jakby wówczas przeszedł 48 rok w Poznańskiem i powstanie krakowskie— łatwo zrozumieć.

Zupełnie niepotrzebne i szkodliwe są panegiryki na cześć wodzów ruchu w latach 63—64. Nie mogę tutaj zajmować się krytyką powstania styczniowego, przytoczę tylko parę faktów. Gdyby iście romantyczny, nigdy zaś bojowy „dyktator" — Langiewicz rozumiał wojnę, nawet ówczesną partyzantkę, miałby tysiąc sposobności podniesienia ruchu na poziom poważnej rewolucyi. Wszak Austrya dopiero wtedy przestała być zachęcająco bierną i podstawą operacyi, gdy przekonała się, że „Dyktator" jest niezdolnym zupełnie do zadania ciosu rządowi rosyjskiemu. Skoro najtęższa głowa, bo dyktator, okazała brak powagi — cóż dopiero myśleć można było o reszcie powstańców!

Gdyby powstańcy nie zlękli się rakiet pod Płockiem, gdyby Deskur pod Łukowem i Białą miał jakiekolwiek pojęcie o wojnie, — kto wie, jakby stanęły sprawy! Kilka zajętych punktów strategiczno-organizacyjnych, kilka rzeczywistych wygranych — mogłyby naprawdę podnieść powstanie do wysokości wojny, a na wojnie niema nigdy absolutnych pewników.

Zamiast zachwycać się urojonemi „zwycięstwami“ nad wojskiem rosyjskiem pod Małogoszczą, Żyrzynem i t. d., wejrzeć trzeba w treść i rdzeń powstania, rozpatrzyć je okiem żołnierza i sumiennego obywatela, nie płaczki rozczulonej. Niech dążenie do czynu i sam czyn raz już zastąpi poezyę!

Są ludzie, coraz liczniejsi, którzy wierzą w możliwość i konieczność powstania, ale wiara sama nie jest dostateczną. Wiara nie obali pseudoargumentów przeciw i dlatego trudno jej rozszerzać się. Koniecznem jest zrozumienie istoty ruchu zbrojnego i poznanie rzeczywistych sił wroga, oraz uświadomienie sobie najskuteczniejszych metod przyszłej walki.

Powstanie jest jedyną drogą do wolności — więc jest koniecznem, O ile wierzymy we własne dążenia wolnościowe, musimy wierzyć w konieczność powstania. Póki się żyje — wszystko co jest koniecznem, jest możliwem.

Wielką, zasadniczą przeszkodą do uwierzenia w zwycięstwo jest bezgraniczne przecenianie sił wroga. Ludzie nie mający pojęcia o wojskowości i wojnie, czują się powołanymi do zaciekłej krytyki idei powstańczej, lub owinięci w togę zarozumiałej ignorancyi twierdzą, że to toga powagi i wydają sądy, śmieszne dla pierwszego lepszego kaprala. Obowiązkiem każdego uczciwego zwolennika lub wroga powstania jest znać gruntownie kwestyę, w której się głos zabiera. Trzeba krytycznym wzrokiem sięgać nietylko w głąb własnej rzekomej bezsilności, lecz i rzekomej siły wroga. Trzeba wroga znać.

Rozprószenie czczego uroku militarnej mocy rządu wobec dobrze zorganizowanej rewolucyi — jest dla chcących zrozumieć nietrudnem. Masy, wiedzione dobrym instynktem, w odpowiedniej chwili same zawołają o broń. Tak było w 63 roku i w 1905. Trzeba dla nich kierowników, planu powstania i broni. Tego wszystkiego nam brak, musimy więc zacząć pracę nad usunięciem braku, aby nie być zaskoczonym przez chwilę historyczną.

Trud to wielki, rozłożony na lata całe. Bez żadnych złudzeń, z twardą stanowczością tylko dojdziemy do celu stuletniej walki o wolność.

WŁADYSŁAW ORWID.

JÓZEF MIRECKI.

FRAGMENTY ŻYCIORYSU.

Nowoczesna literatura nasza niejednokrotnie sięgała do mało znanych szerszej publiczności tematów z życia rewolucyonistów polskich. „Bezdomni“, „Z minionych dni“, „Na kresach lasów“, a w najświeższej dobie „Róża“, „Jaskółka“, niektóre utwory Sieroszewskiego i niemal wszystkie Andrzeja Struga szukają wzorów dla swych postaci w tej dziedzinie. Czytelnicy znają stworzonych artyzmem ludzi; sądzimy, że zainteresuje ich rzeczywisty wizerunek jednej z najwybitniejszych postaci Rewolucyi, Józefa Mireckiego, który w fragmentach zamieszczamy.

I.

Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem...

(Słowacki.)



Na stokach cytadeli warszawskiej od lat stwarza się jakgdyby drugi Wawel Polski — stos kości bohaterów mordowanych, w noc głuchą grzebanych tajemnie. W ostatniej dobie ten męczeński Panteon narodowy chłonie życie walecznych tak gwałtownie, jak nigdy.

Jednym z ostatnich, co szedł po szczeblach szafotu, jakby stąpał po stopniach tronu, jest Józef Mirecki, prawdziwy Książę Niezłomny Rewolucyjnej Polski. Trudno o nim pisać, zbyt świeża jest strata.

Niepodobna też przedstawić w całej okazałości tej posągowej postaci, póki walka trwa, i kat czyha na każde słowo niebaczne, na lada pozór, by stryk okrutniej zaciągnąć.

Wiele z chwały musi być przemilczane, powierzane tylko z ust do ust pamięci szeptem tajemnym; sądzimy jednak, że z tej cząstki działalności Mireckiego, która da się ujawnić, naród odczuje, kogo mu wydarł nikczemny mord, jak drogocenny skarb ukradł, by zniszczyć, dziki najazd, co od wieku tępi i wytraca najszlachetniejszych w każdem pokoleniu.

* * *

Józef Mirecki urodził się około 1880 r., zdaje się, w Rosyi, pochodził z rodziny obywatelskiej w Radomskiem, która, podupadłszy materyalnie, przeniosła się do Warszawy, gdzie matka Józefa założyła dystrybucyę. Dziad Mireckiego służył w wojsku polskiem, ojciec był również wojskowym, to też w rodzinie panowały żywe tradycye militarne.

Mirecki początkowo uczęszczał do gimnazyum radomskiego, gdzie należał do tak zwanych

kółek samokształcenia się, założonych przez Kazimierza Krauza (pseudonim partyjny Luśnia), przedwcześnie zmarłego teoretyka niepodległościowej ideologii Polskiej Partyi Socyalistycznej (P. P. S.) i socyologa o europejskim rozgłosie.

Duży nad wiek, nieśmiały, skromny chłopak wyróżniał się wśród kolegów nie dziecinnie poważnem usposobieniem i niezwykłą obojętnością w stosunku do urzędowej oświaty, szerzonej przez pedagogów moskiewskich pod kierunkiem dyrektora Smorodinowa.

Szczególny wstręt czuł do języków starożytnych, martwego kucia słówek i gramatyki; do ćwiczeń klasowych w tym przedmiocie zasiadał jak automat. Na rozkaz „zakryt' tietradi" momentalnie składał kajet, odruchowo niemal oddawał, nie troszcząc się zupełnie o sukces.

Był wogóle bardzo małomówny, potrafił godzinami milczeć; na zebraniach koleżeńskich rzadko zabierał głos i choć lakoniczne jego uwagi odznaczały się zwykle trafnością, wypowiadając je, mieszał się i czuł zażenowany, jakby popełniał nietakt.

Z piątej klasy Mirecki został wydalony za harde zachowanie się wobec oficera, nauczyciela gimnastyki.

Był to jakby proroczy, pierwszy zatarg z armią rosyjską przyszłego bojowca i zarazem pierwszy strajk młodziutkiego socyalisty — strajk niemy, polegający na odmówieniu odpowiedzi na oficerskie powitanie.

Nie mogąc dostać się do żadnego gimnazyum, Mirecki wstąpił do Szkoły górniczej w Dąbrowie, około 1895 r., t. j. w czasie, kiedy w Zagłębiu począł na dobre rozwijać się pod przewodnictwem Polskiej Partyi Socyalistycznej ruch rewolucyjny, a szkoła stała się jednem z ognisk przyszłych bojowników ludowej sprawy.

W tej szkole wyrabiał się Józef Mirecki. Pomijamy całą jego działalność młodzieńczą, odkładając ją do obszerniejszego życiorysu, który wyjdzie w oddzielnej odbitce.

Zaznaczamy tylko, że po dłuższym pobycie w więzieniu w 1904 roku został wysłany do gubernii Ołonieckiej na 5 lat wygnania.

Wygnanie! Serce oddarte od wszystkiego, co drogie. Obce widoki, obce stosunki, obce dusze.

Garstkę spędzonych z rozmaitych końców świata często psychicznie cudzych „towarzyszy" zgryza tęsknota, rozdrażnia puste życie i czyni łapczywymi na wszelkie spory, nieraz o kreskę, o literę martwego dogmatu.

Na tych morderczo jałowych polach wysycha i upada słaby, zdobywa hart silny.

Mirecki tu rósł w moc.

Niestrudzony twórca własnego jestestwa, dźwigał w sobie coraz wynioślejszą twierdzę niezdobytej woli: w jej pęta brał kolejno wszystkie władze duszy.

Głuche, gorące namiętności, ślepe organiczne instynkty czynił jej mocarstwu doskonale posłuszne, bez szemrania podległe.

Dojrzewała w nim jednocześnie od początku rewolucyjnej działalności kiełkująca myśl, że cały ruch winien konsekwentnie zdążać ku temu, by mógł się zmierzyć orężnie ze zbrojnem panowaniem przemocy i gwałtu.

W kraju, gdzie tradycya bojowa przez filozofię niewoli została zabita, trup jej wyśmiany, widmo odepchnięte — trzeba było żywej, ofiarnej krwi, by wystygłą sprawę rozniecić, potężnego ramienia, by ją z grobu wydźwignąć, nieustraszonego męstwa, by wyklęty sztandar rozwinąć i heroizmu, by kazać w nim się rozkochać współczesnym i narastającym pokoleniom.

Jednym z takich wskrzesicieli zadeptanego ognia, Prometeuszem buntu w zduszonym narodzie postanowił się stać Mirecki.

Rozumiał dokładnie, że droga, którą zdążać zamierza, to ostra krawędź, zawieszona nad przepaścią śmierci, by stąpać nią bez trwogi, trzeba zdobyć władzę niezmrużonemi oczyma spoglądać w bezdenne czeluści, zwiedzić je wyobraźnią, posiąść całkowicie, uważać usunięcie się w tę otchłań jako zwyczajną przygodę, pokonać lęk przed nią — wytrzebić w sobie do tła strach śmierci.

Mirecki to uczynił.

I tak przygotowany moralnie, na pierwsze sygnały budzącej się rewolucyi ucieka z wygnania i zaciąga się w szeregi organizacyi bojowej.

Studyuje pilnie sztukę wojskową, ćwiczy się w strzelaniu, uczy robić plany, przygotowywać materyaly wybuchowe, przyczem ujawnia wybitne techniczne zdolności, pomysłowość i olbrzymią pamięć wzrokową, która mu pozwala utrwalać w umyśle z dokładnością kliszy fotograficznej najdrobniejsze szczegóły sytuacyi.

Pracuje bezimiennie. Przybiera nazwisko Montwiłła, Sawickiego i pseudonim początkowo Grzegorza, potem Bronisława.

Niemowlęca jeszcze bojówka, złożona ze świeżych rekrutów, pod jego dowództwem przeprowadza pierwsze zbrojne akcye, przy czem Montwiłł ujawnia swe wszystkie, pierwszorzędne zalety.

Jest świetnym wywiadowcą, rozważnym, pieczołowitym wodzem i do szaleństwa odważnym żołnierzem.

W najcięższej sytuacyi nie traci zimnej krwi, pamięta o wszystkiem, przeżywa—rzec można — w wyobraźni projektowaną walkę we wszystkich szczegółach i możliwych powikłaniach.

W ogień idzie pierwszy, z pola schodzi ostatni. W jednym z najtrudniejszych odwrotów, kiedy szeregowcy literalnie kładli się ze znużenia, i gotowi byli oddać się w ręce pościgu, byle odpocząć, Mirecki chory na zimnicę rękami wprost dźwiga ludzi, zmusza do marszu; po drodze zdobywa prowincyonalną pocztę i podniesionych na duchu tem zwycięstwem towarzyszy uprowadza w bezpieczne miejsce.

To też szeregi wprost go kochają.

Wieść, że Bronisław dowodzi, wywoływała radość i wiarę w powodzenie.

Żołnierze lubowali się w jego pięknym, donośnym, metalicznym głosie, którym wlewał w ich żyły lwie męstwo, spokój i ufność, że dzielny wódz czuwa nad wszystkiem i że w zachwianym punkcie błyśnie jego broń, która nie chybia.

Nowozaciężni, przyjmowani do organizacyi bojowej opowiadają, że od pierwszego zetknięcia się ze spiżową postacią instruktora o pięknej, posępnej, głęboko uduchowionej twarzy, odczuwali, jakimi być powinni. Z jednego spojrzenia jego badawczych o złotym połysku piwnych oczu domyślali się, czego od nich żąda, tak, że za całą rozmowę wystarczał mocny, serdeczny uścisk dłoni i krótkie zdanie, którem zwykł był witać rekrutów:

„Towarzysze, nie lękajcie się śmierci!“

Obojętność wobec śmierci Mirecki uważał za niezbędny warunek dla bojowca.

Żołnierz rewolucyi nie powinien był, zdaniem jego, oddawać się żywym w ręce wroga.

Zasadę tę stwierdził osobistym przykładem.

Gdy w sierpniu 1905 roku na ulicy Mokotowskiej policya otoczyła dom, w którym się zgromadzili towarzysze, Montwiłł-Sawicki, jak głosiły pisma — stawił zbrojny opór.

Nie mogąc się przedrzeć przez oddział straży, Mirecki wydostał się na dach, strzelał do ścigających go policyantów, a widząc, że wymknąć się nie zdoła, po wyczerpaniu amunicyi, ostatnim ładunkiem wypalił sobie w usta. Kula się oślizgnęła na zębach, uszkodziła szczękę i przedziurawiła policzek.

Ujęty i osadzony w cytadeli, pod jesień z powodu potrzeby operacyi został przeniesiony do szpitala Świętego Ducha.

Na pół godziny przed pójściem na stół chirurgiczny, zdołał pomimo pilnującego konwoju, wyskoczyć przez okno ustępu do sąsiedniego ogrodu fabryki Frageta, oczekująca kareta uwiozła go w bezpieczne miejsce. W ręce wysłanego pościgu dostało się jedynie szpitalne ubranie pacyenta.

Drugi raz w podobnej jak na Mokotowskiej sytuacyi znalazł się Mirecki w końcu grudnia, wkrótce po akcyi w Wysokiem Mazowieckiem, gdzie z kasy miejscowej skonfiskowano na rzecz rewolucyi około pół miliona rubli — fundusz przeznaczony na umocnienie potęgi caratu, bo na budowę fortu w gub. Łomżyńskiej.

Było to na Wilczej, w mieszkaniu konspiracyjnem, gdzie Mirecki w wilię pewnej akcyi miał nocować.

Naoczny świadek tak opowiada o tem zdarzeniu:

— „Gdym przyszedł, zastałem już towarzysza Lerczyńskiego i Bronisława, którzy się krzątali koło posłania. Pomimo to, iż miałem głowę zaprzątniętą ważnemi rzeczami, uderzyły mnie w Mireckim pewne niezwykłe w naszem kawalerskiem życiu obyczaje, mianowicie niezwykła schludność i porządek, z jakim rozbierał pościel, prostował fałdy zdejmowanego ubrania, czyścił i okurzał rzeczy.

— Nazywam się Sawicki — rzekł idąc do łóżka — dobranoc! — i szybko zasnął.

Lerczyński rozmawiał ze mną chwilę na temat wznowionych rewizyi nocnych i rozmaitych niezbyt pomyślnych nowin, które rozstroiły mnie do tego stopnia, że pomimo zmęczenia, zasnąłem po północy.

Spałem widać twardo, bo kilkakrotne mocne szarpnięcie za rękę ledwie mnie ocuciło z sennego odurzenia, ale wystraszony głos posługaczki, że policya jest w domu i robi po piętrach rewizyę, otrzeźwił mnie w momencie. Zerwałem się na równe nogi i zobaczyłem w mętnem świetle wschodzącego dnia, że Lerczyński na wpół ubrany nerwowo porządkuje jakieś papiery, a Montwiłł — rzec można zapięty na ostatni guzik, flegmatycznie ogląda Brauning i nabija zapasowy magazyn.

— Towarzysze — rzekł nagle, pakując ostatni ładunek — nie czas debatować, za chwilę tu będą, nie mamy nic do stracenia, jak chcecie, ale mnie żywcem nie wezmą!

W skupieniu i milczeniu wyjęliśmy swą broń, tymczasem Mirecki, rozejrzawszy się po pokoju, kazał nam postawić łóżko we drzwiach, za niem umieścił stół i poukładawszy odpowiednio materace, poduszki i sienniki, zbudował wcale niezłą barykadę.

— No teraz — rzekł, obejrzawszy swe dzieło — możemy się nieco potrzymać, nie należy na oślep strzelać — dodał i odsunął bezpiecznik.

Czekaliśmy z bijącem sercem nie wiem jak długo, bo straciłem miarę czasu, gdy nagle wpadła posługaczka i stanęła w osłupieniu, nie rozumiejąc, co mają znaczyć te stłoczone meble.

— Poszli, poszli — zaczęła wreszcie zdyszanym głosem — zabrali jakiegoś pana i poszli...

Lerczyński zaklął ordynarnie, Mirecki się roześmiał, pomógł nam rozebrać barykadę, spojrzał na zegarek, nałożył palto, pożegnał się i wyszedł.“.



WŁADYSŁAW ORKAN.

Z NAD LEMANU.

Na Rochers de Naye zakwitło słońce.
Rozwiało męty, ponad jeziorem błądzące,
Olśniło ściany Meilerie i spłomieniło szczyty
Wstają oczom słoneczne baśni, mity —
Grają w słońcu strzaskane szyby śnieżne —
Odbijają je w głębi swej wody przybrzeżne.
Jakby skalisty cud z jeziora wstał,
Z tych głębnych topieliszczy —
Lub jakby jakiś zamarzły świat
Ongiś przed wieki tu na ziemię spadł
Spiętrzył się krą w lodowy wał
I dalej w słońcu błyszczy...
Tęskniący za wiecznym ruchem,
Dźwiga się grańmi śnieżnemi —
Lecz siły strasznej obuchem
Strzaskany, przymarzł do ziemi.

Te białe widma strzaskanego świata
Są nakształt mistycznych progów,
Po których duch do nieba wzlata —
Są, jak olbrzymie zamki bogów.
Zburzone przez Tytany.
Jeszcze wśród gruzów majaczą
Wieżyce, baszty, ściany...
Mont Arvel, Dent du Midi, Grammont.
Lodem na wieki zatrzaśniętą bramą
Nigdy w cud ziemska nie wchodziła stopa.
Cóż dzieła ludzkie znaczą,
Któremi świat się zachwyca? —
W dole zamek Chatelard — jak szopa;
Chillon sławny — jak opuszczona piwnica.

Słychać z oddali dzwony:
Anglikańskie z St. Martin,
Kalwińskie z St. Legier,
Katolickie z Montreux.
Każde na inne nastrojone tony,
Kościołom swoim wierne:
Te smutne,
Te pokutne,
Te niemiłosierne.

Rozgrały się i jęczą
W to białe, słoneczne rano —
Głowę, smutkiem nawianą,
Żelazną gniotą obręczą.
Jako w zawiewach wiatru,
Który z cmentarzysk wieje,
Zmarłe w tonach ich jawią się dzieje,
Sceny ludzkiego teatru...

Oto Giordano Bruno
Wstępuje dumnie na stos,
Stos zapala się łuną —
Dzwony biją —

Galileusza krwawe oczy,
Jako dwie jamy krwawe cieką —
Zamarł zduszony głos —
Dzwony biją —

Oto dziewczynę wleką
Za zwoje złotych warkoczy -
Cóż popełniła za zbrodnię?
Dzwony biją. —

Paliła życia pochodnię;
Przeto złożona na kraty,
Siekana będzie na ćwierci.
Dzwony biją. —
Życia okrutne katy,
Ptaki śmierci.

A baśń królewska trwa...
Lśniąca lodowców kra,
Z prawiecznych zniesiona dyluwii...
Śmierć jest w tych górach, lecz taka,
Która już o niebie mówi...
Cóż dziejów ludzkich mraka?
O bądźcie pozdrowione sny — zamki wieczyste
Szczyty, dalekie od rojowisk ludzi —
O bądźcie pozdrowione! żeście takie czyste
I że was stopa człowiecza nie brudzi.

STANISŁAW BACZYŃSKI.

ANDRZEJ STRUG.

II.

Motyw wiary w utworach Struga nie trąci w zupełności partyjnością, to znaczy konkretów ideowych nie podaje, lecz psychologicznie, ogólnie niejako przeprowadza poszczególne kreacye bohaterów. O tyle też śmiało, bez wahań zaliczyć go można w poczet rzetelnych, prawdziwych twórców, których sztuka nie stoi na usługach ideologii mas. Daje się zauważyć wszędzie, a szczególnie w nowelce „W twardej służbie", gdzie bohater porzucił wszelkie węzły partyjne, ideowe i stanął na gruncie anarchizmu, to samo daje się zauważyć i w „Dziejach jednego pocisku" w przedstawieniu osób Gryziaka i Rewilaka.

Niema tu partyjności, lecz owo wzniesienie się duszy twórczej ponad poziom targań stronniczych, na wyżyny ekstazy twórczej. Bo przecież Strug jest każdym z swych bohaterów, wczuwa się doskonale, stwarza raczej ze swej duszy przeżycia i momenty, życiowe okresy i ich ciągłość a wskutek tego zanika tendencyjność. Zasadą niejako psychologiczną utworów Struga jest wiara. Nie jest ona tu traktowana, jako bałwochwalcze zginanie się przed potęgą, lecz w formie przejawów woli i ukochania. Żaden z bohaterów Struga nie walczy dlatego, aby ciężył na nim jakikolwiek rys Ananke, bezwzględnego przeznaczenia, wiszącego nad nimi, jak np. tragiczny los bohatera „Białego konia". Są oni zlani, zespoleni z celem, urodzeni w nim, a on poczęty w nich tak dalece, że nie widać nawet demarkacyjnej linii między człowiekiem a czynem. I dlatego Strug dał nam najpiękniejsze i najczystsze dusze, dał to wszystko, co było gestem rycerskim epigonów Belwederu i 63 roku, co postawiło ich w rzędzie odkupicieli ludzkości i własnego narodu. Krwią zbryzgane ulice miast i wiejskie drogi całować w nabożnem czekaniu nowej jutrzni, oto projekcya na przyszłość, płynąca wprost z duszy po czytaniu utworów Struga. Bo odrębnością Struga od innych pisarzy porewolucyjnych jest ścisła łączność, niejako zacieśnianie się, prócz rzadkich dygresyi — do ducha czysto narodowego, czysto polskiego. Strug nie pisze malowanek i bajek dla łaknącej wzruszeń i nastrojów publiczności, nie jest on jednym z tych modnych, jest pisarzem martyrologii polskiej w dobie rewolucyjnej, jest twórcą narodowym. Rewolucyonista jego, chociażby np. Kozłowski z noweli „W twardej służbie" nie jest w żadnym wypadku typem komiwojażera rewolucyjnego, co to objeżdża całą Europę, wszędzie coś podłubie, a w końcu znudzony wraca w filisterski tryb życia. Jest to typ ściśle polski, dochodzący drogą głębokiej analizy do rozwiązania zagadki, który mimo to, iż pojechał gdzieś w daleki świat grnntować swe ideały „powróci kiedyś i usłyszy o nim świat". Powróci, by braciom swym prawdę zdobytą nieść w promieniach jasnej zorzy pewnego zwycięstwa. Bo jego formuła jest niezwyciężoną. On zdobędzie i zburzy stary świat.

Niewygasła wśród ciągłych zawodów i nędzy materyalnej iskra prometeizmu tli w duszy Kozłowskiego, co jak fanatyk średniowieczny wierzy w swą prawdę wewnętrzną, której długo sformułować nie może, a jednak dąży do jej ukrytego łona, by wyrwać ją z ciemnic i w nagości pokazać światu. Jak Budha lub Zaratustra zbawia siebie i ludzkość w samotniczej celi, poddając wolę swą na próbę askezy. Zdziwiłby się kulturalny Europejczyk, skąd wziął się człowiek taki dziś w wieku dwudziestym, skąd trysnęło kryształowe źródło odsłaniające warstwy najgłębsze ducha i Znicz miłości wszechludzkiej. Bo Kozłowski mimo to, iż pogardza partyjnem krzykactwem, kocha ludzkość cierpiącą, a nienawidzi tylko obłudnych krzykaczy i obłąkanej „nędzy polskiej".

„Nie, nie żył jeszcze lud polski. Żyje jeno jego codzienna krwawa krzywda." A więc trzeba iść w dal samotnie i szukać węzła z ludem, mającym swe dni chwały, tradycyę bojową, zwycięską. Tam, do tych co dyszą jedynie żądzą pomsty za krwawy trud i krzywdę. „Tam, pod czarnym sztandarem znajdzie ludzi, którzy są dojrzali i gotowi do przyjęcia jego i jego religii."

Oto modlitwa rycerza przed pierwszym dniem próby.

Kiedyś dowie się o nim świat. Jeszcze go ujrzymy.

Takimi są rycerze Struga przed czynem.

Wiara wznosi ludzi ponad szarzyznę życia, nakazuje walczyć i zwyciężać jeśli już nie wroga, to siebie i swą słabość.

Doktrynerstwo sprowadza tragedyę. I tu mamy cały szereg nowelek, w których przeciwstawia się doktrynerstwo wierze mocnej w zaranie wolności. Konrad ze wspomnień i inni ściśli partyjnicy, spełniający machinalnie czyny wedle regulaminów partyjnych, nie przedstawiają bogatego tła do opowieści, są niem te dusze, co łamią subtelne swe uczucia o skaliste mury doktryn. Takim jest w pierwszym rzędzie stary sympatyk, stary fizycznie, dużo przeszedł, lecz nie wyżarła mu doktryna mózgu i serca, jak wielu młodym. On widział poza partyą świetlany obraz idei i ją ukochał nadewszystko. Złożył swą tradycyę w duszę młodego chłopca i tam wypielęgnował serce czyste, lecz zacięte, w którem płynęła krew głodna zemsty, po ojcu. Marta, niewiasta, co wyrzekła się miłości i ciepła rodzinnego, co każdy objaw sentymentu tłumiła, by nie wprowadzać rozdźwięku do pracy męskiej, twardej i inni, a wielu ich było, to wszystko robotnicy „w twardej służbie", stęsknieni za wyzwoleniem, za wzajemną miłością. Wobec nich partyjna doktryna niknie, zatapia się w odmęcie zapomnienia, a istnieje tylko święta prawda duszy wierzącej. Konflikt zachodzący między prawdziwym stanem uczuć, a ich uzewnętrznianiem jest poświęceniem, złożeniem żertwy na ołtarzach jutra. Nie wolno mieć osobistych celów, bo w nich kryje się zarodek upadku ideałów, w nich gra nuta filisterskiej drzemki. I tu w punkcie, gdzie konflikt powstaje między ideałem a życiem egoistycznem czerpie najbogatszą treść artyzm Struga. Miłość ustępować musi miejsca naczelnej idei, prowadzącej w bój o nią dla wszystkich.

Ofiara samozaprzeczenia swych własnych instynktów, oto co cechowało eremitę starożytności, średniowiecznego ascetę, a dziś powraca w formie zrewolucyonizowanej duszy społecznego działacza. Dotychczas zajmowano się nim jednostronnie, zwracano główną uwagę na czyn jego ideowy, prywatne zaś targanie się wnętrzne z istotą swą ludzką pomijano. Stwarzano postacie herosów, pół-demonów i zdawało się, że rewolucya odbywa się ze współdziałaniem bogów a nie ludzi takich, jako my z krwi i kości. Strug jeden z pierwszych, wierzących w ideał pisarzy — nie mówię z wiadomych względów o Andrejewie i innych, którzy pesymistyczne zajęli wobec rewolucyi stanowisko — odkrył pod togą bohatera duszę ludzką cierpiącą i wi-

jącą się w bólu istnienia, w ciągłej pogoni za harmonijnem pogodzeniem czynu z sobą. Znajduje ją w Miłości. Bohater „Jutra“ zapomina o życiu towarzyskiem w boju, a kiedy przychodzi chwila wspomnień przedśmiertelnej godziny czuje, że zrobił to dlatego, bo „kochał walkę i niebezpieczeństwo, kochał dzielność i pogardę śmierci. Kochał swój cel, kochał myśl o tem, że dla tego celu polegnie. Ludzie-towarzysze jakoś znikali w tym rozgwarze walki, w tej nieustannej ekstazie.“ Tosamo czuje „stary sympatyk“ i człowiek, za którym nieustannie kroczy „Cień“ i towarzysz Marek z „Dziejów jednego pocisku“. Wszyscy oni myślą, że cokolwiek się zdarzy, im stać wiecznie należy przy idei i dla niej złożyć głowę, gdy przyjdzie ich chwila.

A ci, co dali się skusić pozłocie życia egoistycznego, jarzmo będą nosić ciężkie. Takim jest Krzemski z „Sielanki“.

Wie dobrze, że „wszystko będzie, jak dawniej, jeno katorga to będzie, nie praca wybrana nad wszystkie i ukochana“.

„Do nowej kochanki rwie się dusza oszalała i z rozpaczą widzi i wie, że jednak przy żonie poślubionej wytrwać będzie trzeba do końca.“ Lecz żona-ideał traci męża-bojownika i tu kryje się sens etyczny rozdźwięku egoizmu z poświęceniem. Poświęcenie to bowiem nie będzie zupełne, utraci szczytną swą wartość i znaczenie i sprowadzi męczarnie bez końca — bo braknie w nim koniecznego warunku szczerego czynu — Miłości.

W Miłości bowiem i Wierze poczętym jest wszelaki ideał i poświęcenie. I czyn z nich płynący ma wartość nieskończoną, wieczną, bo krew taka nigdy darmo nie płynie, ślady jej zostają na wieki wyryte w duszach przyszłych pokoleń. Czyn taki zawsze znajdzie swój oddźwięk w stuleci burzach i zostanie tradycyą bojową dla innych, następców, żeńców, którzy wyjdą w letnie południe na jasny łan zbierać plon bujny, bo żyzna krwią jest ta ziemia.

Postacie Struga zlewają się ze sobą, tworzą jakiś rytmiczny pochód duchów zaginionych. Po przeczytaniu kolejnem wszystkich utworów słyszymy niejako rozgwar życia i widzimy cienie jedne za drugimi snujące się przed umęczonem okiem. Idą i woje rycerne i chłopcy niedorostki z dziwną fantazyą i dziewczęta krasne i srogie oblicza przywódców z piętnem zaparcia się i nieodgadnione dusze Gryziaków i chłopa, piszącego z powagą przedśmiertną list do żony i wielu innych, a imię ich legion. Powstają z martwych dzieje lat ostatnich i bohaterowie rewolucyi, a cienie ich, jak fala zdążają ku śmierci. Ona wszystkich zabrała i utuliła macierzyńską pieszczotą spokoju. I marzyć już się im nie chce i śnić Miłości cudną przędzę, ni w walce pierś nastawiać mężną, bo minęło ich „jutro“, a dziś jest niepowrotne.

Śpijcie snem słodkim w mogiłach, o bracia!

Bo oto idą nowi ludzie z waszą duszą w piersiach i zaczną od nowa siać ziarno w czarną, krwawą ziemię i oracze wyjdą z wołami czarnemi, by zaorać krwi ślady na nowy bój.

Zarzucają Strugowi, że nie stworzył typu jednolitego, któryby był poniekąd kryteryum literackiem, jak Judym Żeromskiego, lub inne znane z literatury typy. Na to można znaleść odpowiedź jedną. Strug jest pisarzem młodym, indywidualność jego literacka zaczyna się dopiero zarysowywać, jeszcze się niezupełnie uwolnił od wpływów obcych. Zresztą może Strug powieści napisać nie może, a kompletny typ możliwym jest tylko w powieści. Jeśli tak, to działają tu dwie przyczyny. Po pierwsze tło dotychczasowych opowiadań Struga jest zbyt jednolite, motywy zawsze prawie tesame, bo i jakąż rozmaitość życia wewnętrznego można wydobyć z przeżyć na jednym i tymsamym podkładzie. Środki więc psychologiczne są ograniczone, a i tak wielką zasługą jest to, co uczynił Strug. Do tego jest on optymistą, a więc uwydatnił zupełnie nieznany w literaturze porewolucyjnej motyw, a tym jest wyżej wspomniana wiara. Ostatni utwór „Dzieje jednego pocisku“ wprawdzie został nazwany przez autora powieścią, my jednak mu tej nazwy przyznać nie możemy, brak tu bowiem odpowiednich stron tak w treści jak w formie charakteryzujących to, co w literaturze powieścią nazywamy, podobnie jak powieścią nie nazywamy opowiadań Sclavusa. Nie porównywam tu Sclavusa ze Strugiem, nie może być bowiem mowy o tem, konstatuję tylko fakt formalnej różnicy. Strug sięga do głębi bytu ludzkiego, a każdy z jego odcinków nowelistycznych możnaby porównać do preparatu anatomicznego. Nie widzimy wprawdzie całej konstrukcyi duszy, lecz jej poszczególne przewody rdzenne, po których przedostaje się życie zewnętrzne i stwarza skupiony punkt świetlny, a tym jest ideał. Promienny refleks bije stamtąd naokół i rzuca smugi świetlne na drogę przyszłych bojowników, oświeca drogę nam, co stoimy już na mogiłach poległych.

Dlatego cenimy Struga, dlatego poszczególne jego artystyczne opowiadania są dla nas tak zrozumiałe i zespolone ze sposobem naszego myślenia i czucia. Jest on pogrobowcem tej rewolucyi, co burzą przeszła nad głowami naszemi, nie w znaczeniu ujemnem, w jakiem się zwykle używa tego słowa, lecz jako epigon literacki, rysujący przed umęczonem, wątpiącem sercem obrazy silne mocarnych jej rycerzy i wojów bohaterskich, co w oczekiwaniu „Jutra“ stali na placówkach mężnie, a wytrwale, bez męki wahania, wpatrzeni w jasne oblicze ideału...

Wskazuje nam drogę: Ich męstwo samotne w więzieniach w przedśmiertnym dniu, ich ascetyczna ekstaza Miłości, ich serca bijące żarem wiary i poświęcenia...

Ogarnia nas zemsty chęć za męczeńskie ich chwile, za bolesny dzień ich znojny i zbiera się siła na nowy bój...

Smętkiem pokrywa się oblicze jasne, gdy mary ich stają przed nami z ręką wskazującą wschód, gdzie nowej jutrzni zejście ma błysnąć prometejskim ogniem zbawienia...

I cisza rośnie, jak w kościele olbrzymim w kraju, gdzie mogił nadto wiele, a w nawach słychać płacz żałośny i męski spokojny głos: Nadejdzie inny czas!...

MARYAN DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGII.

Bruksela, 30 grudnia.

Łamy pism polskich uginają się wprost pod nawałem artykułów w sprawie żydowskiej. Najtęższe pióra, najczarniejszy atrament wypisują. A kwestya żydowska jak była bolączką naszą, tak i bolączką coraz boleśniejszą się staje, a mroki zaciekłości i nietolerancyi obustronnej zwiększa jeno farba drukarska pism polskich i żargonowych.

O miedzę od Brukselii mieszkał Spinoza, żyd portugalski, jeden z tych, którym na imię· mędrzec świata.

Odrzucił katedry uniwersyteckie, ciężko zarabiał na życie, szlifując optyczne szkła.

I pisma Spinozy szkłami optycznemi są, przez które człowiek współczesny myśl swą powiększyć, wyolbrzymić nawet może.

I gdyby tak przejrzeć historyę życia mędrca owego, gdyby tak przejrzeć stosunek jego do żydów-ziomków i żydów holenderskich stosunek do emigranta-filozofa. Gdyby tak przejrzeć!...

*

W auli Uniwersytetu brukselskiego, od lat kilku, na wykładach etyki i logiki widnieje sędziwa postać rabina żydowskiego. Rabin pilnie notuje wykłady niezależnych profesorów.

Biała broda na piersi spada, włos siwy okala czoło pomarszczone, trzęsące palce ledwie piórem pracować mogą.

Uczy się rabin żydowski wraz z tłumem studentów i studentek etyki i logiki współczesnej.

Niedawne to czasy, kiedy senat krakowskiego uniwersytetu, przychylając się do żądania ojca studentek Klugierówien, odmówił wydawania książek naukowych, łaknącym wiedzy żydówkom.

Roi się za to na lwowskiej i krakowskiej wszechnicy moc syonistów i syonistek, wygłasza się dużo odczytów o „narodowości“ żydowskiej.

Lecz sprawy jedynej w XX stuleciu, sprawy, przed którą blednie wszystko, co skołowaciała w barbarzyństwie i ciemnocie chassydzkiej myśl ludzka podsunąć może, sprawy tej młodzież żydowska nie porusza.

I kiedy mi mówią o zbrodni Macocha, ja pytam, czyż bratem mu nie jest ojciec, który córki swoje, wbrew elementarnym prawom ludzkim, zmusza do stosunków płciowych ze znienawidzonym chassydem?

*

Na ulicy Regence w Brukseli stoi biała synagoga. Nieraz zachodzę tam, by posłuchać ślicznych śpiewów i podniosłej gry na organach.

Na frontonie synagogi, tuż przy wejściu, napis w dwóch językach: francuzkim i flamandzkim:

„N'avons nous pas tous un même pere? Un seul Dieu ne nous a—t—il pas creés?“

Czyż nie jesteśmy dziećmi jednego ojca? Istotnie.

Jest w ziemi płockiej majątek Kuchary. Właściciel majątku tego, znany polski publicysta i działacz społeczny, przed kilku laty zapragnął wystawić matce swojej nadgrobek na cmentarzu żydowskim, gdzie pochowana leży.

Cóż, pomnik stanął. Jeno trza było ostrego zatargu z kahałem, trza było interwencyi władzy moskiewskiej, by napis polski na pomniku pozostał.

Boć razy kilkanaście żydzi, co w Polsce od wieku XIV mieszkają, nadgrobek burzyli, nie mogąc znieść jedynego polskiego napisu na swoim cmentarzu.

*

„Żydzi są narodem, mają swoją kulturę, swoją religię.“ Bezsprzecznie wszyscy się w Polsce z zasadami temi poważnie liczą. Lecz tylko w jednej jedynej Polsce.

Bo oto „naród“ żydowski z Amsterdamu i Rotterdamu sztyftuje całe dwa pułki wojaków, by szli walczyć z powstającą Belgią.

Kilka tysięcy żydów w dwóch pułkach oddzielnych walczyło w szeregach zdetronizowanego przez Kongres narodowy Belgów, króla Niderlandów.

„Żydzi mają swoją religię.“ Trudno sobie wyobrazić, tu w Belgii, rytualne modły w domach prywatnych i w wagonach kolejowych odprawiane. Trudno sobie wyobrazić, tu w Belgii „maglowanie zmarłych“, religijny obrzęd żydowski, za zbrodnię przez konstytucyę szwajcarską uważany.

Lecz u nas żydzi mają swoją religię!

*

— Przepraszam Pana, może Pan zechce rozmawiać ze mną po francusku — przerwał mi młody „litwak“, którego rodzice dopiero piąty rok w Brukseli mieszkają.

— Jakto, więc Pan nie umie już po polsku. Pan, urodzony i wychowany w Warszawie?

— W domu, u mnie wszyscy po francusku mówią, siostra za żydem rosyjskim, ale już słowa po rosyjsku przemówić nie umieją. Mnie bardzo trudno po polsku rozmawiać.

*

Onegdaj dostałem od swych kolegów, znaturalizowanych Belgów: Goldsteina i Goldszmita, następujące zaproszenia:

„W sali „Maison du Peuple“, „citoyen“ Goldstein wygłosi odczyt, p. t. „E. Verhaeren, poeta ludu belgijskiego.“

„W kole literackiem pan Goldszmit wypowie prelekcyę na temat: „Religijne wierzenia Chateaubriand'a.“

A zeszło się tak, iż właśnie onegdaj przeczytałem, jak przyjęto „kolegę“ Belmonta w dzielnicy „serca Polski“, w Warszawie, gdy chciał wygłosić ludową prelekcyę dla żydów.



ADAM PŁOMIEŃCZYK.

GŁOSY PRASY O SPRAWIE NIEPODLEGŁOŚCI.

Wreszcie doczekaliśmy się, że publicystyka polska zaczyna reagować. Bo dotychczas to było tak: propaganda programu niepodległościowego wprawiała publicystów w zakłopotanie, — to przecie hasła „szanowne“ i uświęcone tradycyą, z różnych więc stron odpowiadano biernem przyzwoleniem, czyli milcząco kiwano głowami. Nie mówi się tu o zdecydowanych przeciwnikach z S. D., lecz o ogóle prasy, n. p. mniej więcej demokratycznej. Otóż z tych stron dochodzą teraz głosy krytyczne.

Ale cóż: odbywa się przebudowa ideologiczna oparta na krytyce i pracy organizacyjnej, a „publiczność“ słyszy jeno hasła, któremi się podnieca i różne kabotyńskie piękno-duszki robią sobie z przedzgonnego okrzyku Mireckiego melodramatyczne emocyjki. A publicyści? Publicyści wsłuchując się w ich szczebiot „wiedzą już jak sprawa z tamtej strony się przedstawia, a o szczegóły im nie chodzi“.

A przecież p. Irzykowskiemu („Widnokręgi“ nr. XX.) o szczegóły właśnie chodzić powinno, bo któż jeśli nie on wie doskonale, że w sprawach roboty politycznej poznanie szczegółów, a t. zw. ogólna oryentacya, to dwie rzeczy nic nie mające z sobą wspólnego. Gdyby p. Irzykowski odświeżył sobie w pamięci artykuły K. Krauza i jego motywacyę niepodległości, gdyby pamiętał, że wyszła w tej kwestyi książka Wł. Gumplowicza, gdyby pomyślał o argumentacyi Filipowicza i Polonusa Viatora, gdyby przed napisaniem zarzutu, że różne dostojności pisane przez wielką literę wzrastają w atmosferze P. P. S., przerzucił kilka numerów „Przedświtu“, to sam doszedłby do przekonania, że nie o „tragiczności“ i „rzeczach ostatecznych“ jest tam mowa, lecz o społecznych i politycznych komplikacyach sprawy polskiej, a przedewszystkiem o ekonomii i może nie o „doli robotnika“ — nie o kwestyę pauperyzmu i filantropii tu idzie — lecz o urzeczywistnienie warunku dla normalnego rozwiązywania na gruncie polskim sprawy społecznej: pracy a własności.

Także i ideologia bojowa czy powstańcza nie jest wcale bezkrytycznym „spadkiem“ lecz wynikiem tego prostego rozumowania, że ludzie chcący Polski żywej „nie mogą jej chcieć na księżycu, muszą jej żądać w pośrodku Europy pomiędzy państwami“ jak mówi „Sprawa armii polskiej“. A jeśli spotyka się dziś w publicystyce niepodległościowej znajomość ideologii powstańców i emigrantów polskich, to wynika z tego tylko korzyść, jaką zawsze daje konfrontacya dziejowego doświadczenia z aktualnem położeniem — korzyść choćby ta, że przestano już uważać ideologię Worcella czy Mierosławskiego za szlachecką, bo nie wiem czy p. Irzykowski dopatrzy w niej coś więcej szlacheckiego prócz nazwisk autorów. Z programu niepodległościowego logicznie wypływają studya w zakresie sztuki wojennej, o wiele zdaje się logiczniej, niż ta poczciwa „niepodległość ducha“ p. Glassa (w tymże n-rze „Widnokręgów“); a te studya to znowu nie hipnotyzowanie się „rycernymi“ frazesami, tylko opracowywanie szczegółów, które p. Irzykowski oglądać może w drobnych co prawda, lecz poważnych zaczątkach wydawnictw z dziedziny umiejętności wojskowych. Lecz p. I. widzi w tem znowu tylko „witezia“ z winiety „Życia“ a p. Srokowski („Gazeta wieczorna“ nr. gwiazdkowy), husarza z szumiącemi skrzydłami. Doprawdy czyni to takie wrażenie, jakby oglądnąwszy winietę „Sprawy armii polskiej“ K. M—ckiego wnioskował z niej o treści całej współczesnej polskiej literatury wojennej.

Nie mówię już o innym publicyście (z tejże „Gazety“) szczególnie widocznie w arkana socyalizmu wtajemniczonym, który zarzucając „Przedświtowi“ i „Życiu“ propagandę... aż militaryzmu, daje lekcyę wiecznej niezgody tych dwóch —izmów.

Tak jest niestety, publicystyka nasza zbliżać się zaczyna do krytyki niepodległościowej polityki — ale zbliża się z gotowymi szemacikami; nie chce sobie zadać trudu wniknięcia w szczegóły, a nawet ich poznania: jeden nauczył się antymilitarnych frazesów, drugi niesie wypiastowany w fejletonach ideał niepodległości ducha — a p. Irzykowski daje doskonałą krytykę solennego nabożeństwa do różnych wyrazów, które wywołując emocyę, uwalniają od wniknięcia w rzeczywistość pełną drobnostek i szczegółów realnego życia, — a stosując swą konstrukcyę do P. P. S. informuje się o niej... u p. Strengera, lub co najwyżej w literaturze pięknej, i „już wie jak się sprawa z tamtej strony przedstawia, a o szczegóły mu nie chodzi“.

Niestety, aby mówić o P. P. S. — trzeba wniknąć w szczegóły, a wtedy wszczynanie krytyki będzie i ciekawem i pożytecznem Tymczasem zaś przyzna sam p. Irzykowski, że się pomylił, n. b. broń Boże nie „tragicznie“, lecz „po prostu strzelił bąka“.

SPRAWOZDANIA.

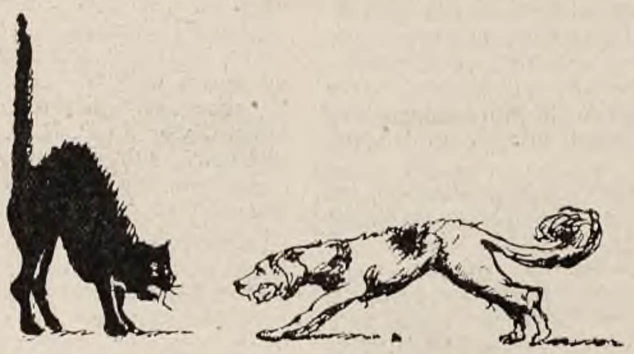
(R) Stanisław Ostrowski: Za gwiazdą przewodnią. 1910. Trojakie echo pisało piórem p. Ostrowskiego. Echo „Huraganu“, „Popiołów“ i d'Annunzia. Gwiazda przewodnia ni wychyla się, ni zapada. Zadowoleni jesteśmy, że oni ochotnicy wojsk polskich odkładają swe śluby małżeńskie na czas po wyprawie r. 1812. Życzymy im, by w następnej powieści wypłynęli, jako szczęśliwi ojcowie rodziu, którym w dniach walki, „nic się nie stało“.

(K) K. Grądzielski. Dzieje literatury polskiej. Kraków, „Książka“ 1911. Pierwszy popularny podręcznik literatury polskiej, odbiegający od typu szkolnego kompedyum, obejmujący zaś całokształt przedmiotu; znakomita i nieprześcigniona „Historya literatury niepodległej Polski“ prof. Chrzanowskiego, kończy się bowiem ze zgonem Rzpltej. Rywalizacya z książką tą trudna i zrzekł się jej poniekąd w przedmowie autor nowego podręcznika, uczynił tylko odpowiednie rozdziały swej pracy bardziej od tamtej książki popularnemi i uprościł materyał w nich zawarty. W kreśleniu dziejów literatury naszej porozbiorowych szedł aufor mniej utorowaną drogą (por. suche i bezduszne ich przedstawienie w bardzo rozpowszechnionym podręczniku Króla i Nitowskiego, że nie wspomnimy już monstrualny elaborat Tarnowskiego, pokutujący w programach galicyjskich szkół średnich). Autor (pierwszy raz, jak się zdaje, występujący na polu piśmiennictwa naukowego) pisze nadzwyczaj jasno, przystępnie i zajmująco; rzecz jego nie odstraszy samouka od przedmiotu, ale zachęci, przywiąże, natchnie ku niemu miłością. Przedmiot opanowany bardzo dobrze, a zajęte przez autora „stanowisko współczesnej myśli demokratycznej“ zgoła nie mąci spokojnego sądu nad prądami i ludźmi. W przeciwieństwie do prof. Chrzanowskiego, autor nie łączy wykładu z wypisami, daje samą narracyę; za błąd poczytujemy odstąpienie tu i ówdzie od raz przyjętej zasady przez podanie całych utworów poza wykładem; wplecione w tekst wykładu urywki nie zawsze zdają nam się celowo wybrane.

Z tem wszystkiem dobra i użyteczna książka, która też znaleźć się powinna i znajdzie zarówno w ręku uczącej się młodzieży, jak w ręku oświeconego robotnika i włościanina, pragnącego poznać zdany mu ku pieczy i obronie skarb kultury ojczystej.

(EK) K. M. Morawski. Dwie rozmowy Stanisława Augusta z Ksawerym Branickim. — Lwów 1910, str. 44 in 8-o. Chociaż niewątpliwie niewielu czytelników — niefachowców w zakresie historyi, zainteresują obie rozmowy (na str. 30—44), to jednak uważamy za wskazane zwrócić uwagę szerszych kół na niniejszą rozprawę, starannie wydaną i ozdobioną kilkoma portretami. Wartość jej polega w tym wypadku przedewszystkiem na doskonałej biografii Franciszka Ksawerego Branickiego, doprowadzonej do r. 1776. Nie sucha to kronika dat i faktów ale obraz, skreślony kompetentnem piórem biografa Ignacego Potockiego, żywo i wyraziście, na na pięknie podmalowanem tle z epoki stanisławowskiej. Ze szczupłego, bo tylko 30 stron liczącego tekstu uważny czytelnik dowie się wiele a jeszcze więcej nauczy.

(EK) Stan dzisiejszy organizacyi socyalistycznych i robotniczych reprezentowanych na VIII międzynarodowym zjeździe w Kopenhadze. Warszawa 1911. Str. 4 nb 100 in 8-o. Pomysł niniejszy książki uznać należy za bardzo trafną a wykonanie za doskonałe. Treść rzeczy rozpada się na dwie części. Pierwsza kreśli w ogólnych zarysach zjazd w Kopenhadze i podaje jego najważniejsze uchwały, druga zawiera wcale dokładną a bardzo interesującą statystykę ruchu socyalistycznego w 21 krajach. Autorowie oparli się na sprawozdaniach przysłanych na zjazd przez poszczególne partye. Z natury materyału, w przeważnej części cyfrowego, wynikły zalety opracowania: brak czczej gadaniny i próżnych przechwałek a podanie dużo wiadomości faktycznych, ujętych w ścisłą formę sprowozdawczą. Książka oddać może wiele usług wszystkim interessującym ię tym przedmiotem.



MIZERICORDIA.

(MK) Gdy potężną wolą rewolucyjnego Cezara Francuzów dźwigało się Księstwo Warszawskie, gdy liberalna konstytucya wprowadzała równość ludzi wobec prawa bez względu na stan i wyznanie, gdy kodeks Napoleona rewolucyonizował prawo małżeńskie, gdy przychodzili do rządów bracia-mularze pokroiu Stanisławów Potockich, Tadeuszów Mostowskich, Józefów Poniatowskich, obskuranci polscy w habitach i sutannach wichrzyli, spiskowali, szpiegowali na rzecz Austryi, a rychło witali z zachwytem ruinę dzieła napoleońskiego, wstąpienie na tron Aleksandra...

I przysiądzby można. że malkontentem, warcholącym przeciw Napoleonowi byłby p. Jeske Choiński, gdyby żył w owe lata wichury dziejowej.

Dzisiaj jest p. Jeske-Choiński bonapartystą. Broń Boże nie przez pamięć na Księstwo Warszawskie i Polskę! On jest bonapartystą przez pamięć dwóch czynów haniebnych Małego Napoleona: wyprawy na Rzym w r. 1849, restauracyi rządów papieskich, klęski zadanej Garibaldiemu pod Mentaną w r. 1867 przez francuskie szassepoty...

Czytamy zatem w klerykalnej „Kronice Powszechnej“ o przywódcach francuskiej republiki, jako że szukają „nowych szmermeli“ i że takim „szmermelem“ ma być zamiana Paryża w port morski...

„Politycy republikańscy żywią nadzieję, że uda im się przynajmniej tak długo zwodzić francuskich robotników. jak następcom Körbera, Polaków, — jeżeli oczywiście nie zajdą jakieś niespodzianki. A niespodzianka taka grozi republice przed oficyalną niemal pretendenturę ks. Wiktora Napoleona do cesarskiej korony. Książęca para wizytuje obecnie wielkie europejskie dwory i wszędzie bywa przyjmowaną bardzo uprzejmie, jakby suwerenowie. Nie jest to bez znaczenia i kto wie, czy pewnego pięknego poranku pod oknami pałacu Elizejskiego nie da się słyszeć okrzyk: „vive l'Empereur“!“

Groźne niebezpieczeństwo zawisło zaiste nad trzecią republiką. Para napoleonidów, europejscy suwerenowie i „Kronika Powszechna“... Tylko w to „vive l'Empereur“ nie bardzo chce się wierzyć. Kameloci paryscy zostawili już ten okrzyk w spadku nadwiślańskim „kamelotom“ zbłąkanym dziś do Lwowa... W ustach zresztą tych panów okrzyk ów snadnie się zamienić może (przez pomyłkę) w „Boże caria chrani“!

(K) Dziwne są „nastroje“ współczesnej Rosyi. Kadecka „Riecz“ przynosi następujący obrazek duszy i kultury rosyjskiej, skreślony przez p. Tywrową:

„W sali klubu szlacheckiego odbył się doroczny bal słuchaczek wyższych kursów żeńskich. Bale te oddawna posiadają swą tradycyę i ustaloną opinię. Tym razem jednak część koncertowa zakończona została przez niezwykłe, powiem wprost oburzające widowisko, którego niepodobna przemilczeć.

Na estradzie odegrano farsę, zakończoną przez błazeńskie przedstawienie sceny stracenia. Murzyni napadli na białego, schwycili go i powiesili. Straceniec, uczepiony za hak, dynda na sznurze, robi miny, porusza nogami, naśladuje ruchy powieszonego, później wydaje jęk, przypominający gwizdanie, miota się konwulsyjnie i wreszcie staje się zupełnie nieruchomym. Wywoływacz, objaśniający publiczności znaczenie czynności aktorów, oznajmia: „teraz on wyzionął ducha“.

A więc wobec tysięcznego tłumu młodzieży, który śmiał się i bił oklaski, odtworzono scenę wieszania, w akompaniamencie błazeńskich wybryków, głupich żartów i dziwacznych pląsów.

Na szczęście, opuszczając salę, słyszałam wyrazy oburzenia z ust nieznanej mi młodej panienki. Towarzyszący jej studenci śmiali się z jej oburzenia. Jak widać, nikt nie podzielał jej uczuć. Ale ja z całej duszy łączą się z jej odosobnionym protestem i nie tracę nadziei, że organizatorzy i organizatorki widowiska zrozumieją całą okropność swej niewybredności.

Rzecz ciekawa, czy nie było to w tym samym dniu, gdy w Wołogdzie dziesiątki politycznych jęczały pod rózgami, gdy w Zerentuju dogorywał Sazonow, czy może w tym dniu, gdy w Odessie prawdziwie rosyjscy „akademiści“ strzelali do młodzieży demonstrującej, a policya szła im z pomocą...

(Br. K.) W pochmurną noc, targany zewsząd burzliwym wichrem, nękany głodem — szedł Mistrz Fi-fi po galicyjskim gościńcu. Oto ledwie wymigał się od moru i powietrza, które to złe potęgi nie miały nigdy żadnej pretensyi do niego, a jednak bał się ich Fifi, bał się całą duszą swoją mizerną i wszystkimi, starganemi absyntem nerwami. Szedł Mistrz i z boleścią i tęsknotą myślał o tych błogich czasach w Polsce, kiedy przodkowie jego nie znali naczelników-mordobijców i żołnierzy strzelających prawdziwemi kulami, i mogli spokojnie kupować po wsiach zajęcze skórki na ubiór świąteczny. I spotkał Fi-fi walącą się chatę w ciemno ręgach. U wrót leżały groźne, kłapiące bezzębnemi szczękami, kundle na łańcuchach, strzegące domostwa. Tedy wyciągnął Fi-fi z zanadrza swego niepodległego ducha i okazał bezzębnym bestyom, które zawyły radośnie. I siadł Fi-fi podle nich i jedząc z ich korytka zaczął nauczać. Rzekł tedy: „Dajcie mi glossy, a uderzą nimi wspólnego wroga, aż w proch upadnie, albo się nawróci!“ A gdy mu dali — uderzył. Uderzył w pustkę wystrzelonego w r. 1905 browninga, w Polski uderzył niepodległość, za uderzeniem plunął kilka razy śliną ropuchy i rzekł: „Oto patrzcie, rozpada się i bankrutuje niesolidna firma rewolucyi, a ja zawsze mówiłem, że to kiepski interes. Taki towar już dziś nikt nie kupi, a każdy kupiec od tej firmy to musi mieć moje żyro, to jeszcze może co będzie. Bo ja wymigiwałem się całe życie od niebezpiecznych upadłości, a moje konto u moru i powietrza nie jest niczem obciążone i nie będzie nigdy. Jestem przeciętnym ....rabem, synkiem najstarszych w świecie kupców, a duch ich mieszka we mnie, i słońce sześćdziesięciu stuleci mnie wiedzie. Jak wrosnę w pierze przy Battaglii — stanę się wodzem ciał, jako dziś jestem wodzem ducha niepodległego, którego noszę w zanadrzu pod trykotami. Bez hasła stanę nad armią i historyą i zawrę kontrakt dzierżawy dusz polskich. Wrogi się śmieją ze mnie to los geniuszów, ale wy kundle, wy wierne stróże przyszłości Poski — słuchajcie Więc bądźcie jako ptaki skalne..,“ i t. d.

Tako rzecze Hersz Glass...



Z TYGODNIA.

O RAPPERSWIL. Od kilku tygodni opinia publiczna zainteresowała się sprawą Rapperswilu. Toczy się dyskusya w kwestyi przeniesienia do kraju biblioteki rappersWilskiej. Lwów upatrzony dla niej na siedlisko. Rada muzealna, wszystkimi głosami przeciw jednemu czcigodnego pułkownika Miłkowskiego, postanowiła bibliotekę przenieść. Za przeniesieniem oświadczył się w „Kuryerze Lwowskim“ młody historyk, dr. Pawłowski To dało właśnie asumpt do publicznej debaty. Liczne głosy za przeniesieniem biblioteki do Lwowa podał „Kuryer Lwowski“. Liczne głosy contra podało „Słowo Polskie“. Z jednej strony podnoszono doniosłość biblioteki rapperswilskiej, jako wielkiego zbioru źródeł do dziejów porozbiorowych, dla pracowni naukowych w kraju; z drugiej strony podnoszono słusznie znaczenie biblioteki rapperswilskiej jako instytucyi, kollekcyonującej druki i rękopisy emigracyjne, a zarazem stanowiącej jakby naukową ambasadę polską na obczyźnie. Podniesiono zarazem trudności, z przeniesieniem związane, wątpliwą łatwość godnego pomieszczenia i należytego zorganizowania biblioteki we Lwowie; wreszcie szkodliwość przerwy w katalogowaniu i inwentaryzowaniu zbiorów. Bardzo poważne i rzeczowe artykuły zamieścił w tej kwestyi w „Słowie Polskiem“ były bibliotekarz rapperswilski, p. Zygmunt Wasilewski.

Nie poruszył były bibliotekarz innej, bolesnej strony sprawy, splotu przykrych zagadek, na które snop światła rzucają współcześnie drukowane rewelacye „Gońca“ warszawskiego. Oto zachodzi obawa, że Rapperswil po oddzieleniu biblioteki, pozostawiony na pastwę obecnej gospodarki, żywo przypominającej operacyę dońców w Bibliotece Załuskich, stałby się rychło tem, w co już przeobraża się powoli — narodowym skandalem na pokaz Europie. Oddzielenie biblioteki, usunięcie cichej kontroli bibliotekarzy, ludzi wiedzy i kultury europejskiej, nad gospodarką muzealną, równałoby się ruinie samego Muzeum. Nie wolno myśleć o ruszaniu Rapperswilu, pokąd nowi ludzie, mający zaufanie ogółu, nie ujmą zarządu muzealnego w swe ręce, pokąd Muzeum nie ulegnie reorganizacyi, w bibliotece zaś nie dobiegną kresu prace Żeromskich, Wasilewskich, Grabskich, Karczewskich, przerwane niedawno bezprzykładnem usunięciem ostatniego bibliotekarza.

O Rapperswilu przyniesie „Życie“ niebawem własne, obszerne informacye, z dobrego zaczerpnięte źródła. Na razie wbrew sympatyom i uprzedzeniom stronniczym i wbrew krótkowidzącemu utylitaryzmowi, z całą energią przyłącza się do protestu przeciw ruszaniu biblioteki rapperswilskiej.

Nad protestami, których liczba wzrasta, dominuje głos kontrolera rady muzealnej, pułkownika Miłkowskiego. Po-

wołując się na wyraźne brzmienie aktu fundacyjnego hr. Władysława Platera, Z. Miłkowski odmawia znaczenia prawnego uchwale o przeniesieniu biblioteki i protestuje przeciw całej akcyi, zwracając się do prezesa rady muzealnej, do dyrektora Muzeum i członków rady, do rady miejskiej m. Lwowa i do opinii publicznej w kraju. Słowa gorące tego protestu uważamy za rozstrzygające w całym sporze. Służba Rapperswilu na tułactwie nie skończona jeszcze, o momencie zaś jej dokonania stanowić ma prawo jedna tylko, nieobecna dzisiaj instancya — Rząd narodowy.

POSEŁ STAPIŃSKI — NAWRÓCONY. Niedługo trwała przyjaźń konserwatystów z najętym przez nich wodzem ludowców. Przeszkodziła dłuższemu jej trwaniu nietyle wiara polityczna, ile ambicya posła Stapińskiego, który pierwszorzędnej domagał się roli za swoje usługi polityczne. Rezultatem zwaśnienia — nawiązane rokowania między ludowcami, a dwoma grupami demokratycznemi, ND-cyą w pierwszym rzędzie, w drugim demokracyą krakowską. Rezultat uboczny: wyparcie się przez Stapińskiego w „Nowinach" krakowskich (które świeżo organem jego półurzędowym się stał po zgasłej zbyt późno „Gazecie Powszechnej") stanowiska wrogiego budowie dróg wodnych; wyparcie się zresztą połowiczne i wykrętne. Rezultat drugi: Sążnista odezwa do włościan, czytelników „Przyjaciela ludu" w której Stapiński oznajmia o swojem zerwaniu ze stańczykami, całe zaś uprzednie do nich umizgi słuchaczy, jako... portfel polityczny. Nowy kurs radykalny w pełnym toku. Są groźby rozbicia „Koła Polskiego", jeśli ono nie będzie słuchać ludowców. Rodomontady gaskońskie, słusznie przyjęte z niedowierzaniem i skarcone przez sumienie stronnictwa ludowego, „Kuryer lwowski". Spodziewać się można, że gaskonnady te pójdą dalej jeszcze, że pojawi się znów na okładce „Przyjaciela" stare godło: „jednajcie nowych czytelników, by rosła siła na stańczyków"...

Poseł Stapiński nie zmyje tak łatwo makbetowej plamy z rąk i nie odzyska czystości i prawości politycznej. Jego nowy manifest przeciw stańczykom równie jest wykrętny i niesumienny, jak uprzednie w obronie ich manifesty. Jeśli może być mowa o zwycięstwie frondy ludowej, to nie w znaczeniu ideowego tryumfu. Powstała tylko konjunktura nadzwyczaj dla frondy tej korzystna, aby swą politykę uczciwą, otwartą i śmiałą z powrotem narzucić stronnictwu. Powodzenie w tej pracy gorąco życzymy „programowym ludowcom".

UMIARKOWANA DEMOKRACYA WOBEC PRZESILENIA. Zbliżenie się ludowców do narodowej demokracyi wywołało wręcz konsternacyę (dobrze zresztą zrozumiałą) pośrod organizującej się umiarkowanej demokracyi, czy też stronnictwa pracy pozytywnej. Lwowski organ tej grupy „Gazeta wieczorna", zaniemówił ze zdziwienia, a wreszcie wyrzekł słowami Hamleta, iż są rzeczy, o których się filozofom nie śniło... Dzisiaj zresztą (4 stycznia) tenże sam dziennik miną już nadrabia, udaje radość ze zbliżenia się wzajemnego dwóch najsilniejszych grup demokratycznych, z tem tylko zastrzeżeniem — że demokracya nie powinna się jednoczyć w celu zwalczania „innych grup", t. j konserwatystów. Zdaniem bowiem „Gazety wieczornej" demokracya jest po to, aby konserwatystów chwalić, służyć im i przez to do żywota wiecznego się dostać.

Że są rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło, i to nawet w Kole Polskiem, świadczy fakt, że demokraci bez przymiotnika, zasiadający w Kole, z dodatkiem paru rozbitków innych stronnictw, zjechali się przy współudziale kilku posłów sejmowych w Krakowie, stworzyli grupę zorganizowaną, związali się solidarnością, wobec zaś przesilenia ministeryalnego i zbliżenia się ND-cyi ze Stapińskim stanęli na stanowisku opozycyi zasadniczej, uzależniając swój zgoła problematyczny udział w rządzie od stanowiska rządu wobec sprawy dróg wodnych. Gdybyż nasza demokracya miała takie napady prawości politycznej nie tylko wtedy, gdy idzie o przypięcie łatki szczęśliwym konkurentom! Grupa demokracyi polskiej rozporządza pono 12 głosami w parlamencie, niewiele zatem ustępuje siłą liczebną ludowcom i narodowym demokratom. Z deklamacyi o „solidarności narodowej" wyższej nad demokratyczną solidarność i o potrzebie „konsolidacyi narodowej" wnosić można, że demokraci umiarkowani zamierzają w razie niedojścia do porozumienia z przymierzem ludowo-ndeckiem zawrzeć sami sojusz z konserwatystami i *viribus unitis* robić opozycyę w Kole.

Spiritus flat ubi vult i gdzie chcą, tam obracają się polityczne proporczyki polskie.

ZA O MIEJSKĄ REFORMĘ WYBORCZĄ. Posiedzeniem w sprawie reformy wyborczej witała Rada miejska rok 1911. Niezwykle „ciężko" witała jednak! Większość straciła zupełnie swój impet i zapał dla ubicia reformy i ściągała się bardzo powoli; ósma godzina dochodziła kiedy wreszcie posiedzenie otwarto. Atmosfera świąteczna zaciążyła jednak bardzo nad radnymi, nie mogli się bowiem porozumieć nad czem będą głosować, co zostało już uchwalone i t. d. P. Ciuchciński ze stoicką obojętnością przyglądał się tym zapasom i nie przeszkadzał wcale w tej zabawie, mimo iż on miał ogłosić wynik głosowania poprzedniego posiedzenia i swoją opinię w sprawie zakwestyonowanej ważności jego.

Projekt reformy ordynacyi wyborczej został w myśl wniosków większości uchwalony; po przejściu i opracowaniu przez Magistrat wróci do Rady, jako gotowa ustawa do uchwalenia. Wobec oświadczenia Dra Lisiewicza imieniem członków klubu reformy, że walczyć będą nadal o istotną reformę wyborczą, a sprzeciwiać się raz jeszcze obecnemu projektowi, możemy mieć nadzieję, że nacisk opinii i odświeżenie Rady po zbliżających się wyborach przez żywioly bardziej postępowe, sprawy tej pogrzebać nie pozwolą. A nadzieję tę tem bardziej mieć możemy, że we wtorek przy głosowaniu nad udzieleniem kobietom biernego prawa wyborczego stosunek głosów przedstawiał się pomyślniej niż dotąd, bo 22 głosów przeciw 39. Punkt ten był kulminacyjnym w walce, a ta pokaźna ilość głosów wskazuje, że sprawa ta jest do wygrania. Dowiedzieliśmy się przytem od p. Neumanna, jak to komisya reformy wyborczej „przeoczyła" istnienie kobiet, które ukończyły szkołę wydziałową i dlatego nie wzięła ich pod uwagę. Czy takich przeoczeń nie znalazłoby się więcej w projekcie? Należałoby tylko wynaleść sposób na „poprawienie wzroku" większości — może wybory najbliższe zdołają na wzrok ten zbawiennie wpłynąć! Zresztą większość ma i tak jakąś chorobą anti-wyborczą, nie chciała bowiem zgodzić na dalsze zatrzymanie wyborów w okresie trzechletnim, sądząc, że lepiej wybierać od razu wszystkich na lat sześć a nie męczyć się dwa razy w tym samym okresie czasu.

Życzyć należy Radzie miejskiej jak najradykalniejszego „uzdrowienia" przy zbliżających się wyborach, a wtedy z pewnością znajdą się jeszcze nie jedne przeoczenia w projekcie reformy wyborczej i tylu innych!

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.